WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 10. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 9 Marca 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszenia zwycz. 65 f. „Nadesłane" Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.

W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D E. Friedleina—Rynek 17.

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchsteba — ul. Karola Ludwika 21.

Z powodu opóźnienia przesyłki klisz z zagranicy nie możemy przy niniejszym numerze dołączyć dodatku z modami. Podwójne dodatki dołączymy do numerów następnych.

Z powodu zupełnego wyczerpania nakładu za kw. I-szy i braku niektórych numerów—prosimy uprzejmie Sz. Czytelników, nie zbierających kompletów „Bluszczu", o łask. przysłanie № 9-go do Administracyi pisma za zwrotem 65 fen. za numer.

Telepatya, instynkt i mistycyzm

ze stanowiska wiedzy.

Są zjawiska, które nęcą ku sobie stale umysły szerokiego ogółu zarówno jak badawczość uczonego. Gdy jednak pierwszy widzi w nich echa jakichś przeżytych poglądów a pociągnięty ku nim zostaje nadzieją odnowienia minionej bezpowrotnie fazy myśli, uczony spogląda na nie od strony zwróconej ku przyszłości. Ma on jasną świadomość tego, że wiedza daleka jest od wyczerpania i ujęcia w swe formy całej rzeczywistości. W każdem więc zjawisku, rzeczywiście lub pozornie niezgodnem z poglądami i teoryami naukowemi, dostrzega środek rozszerzenia widnokręgów wiedzy, posunięcia o krok dalej granic jej posiadłości; rozwinięcia teoryi naukowych tak, aby objąć mogły także i zjawiska dotąd pomijane, nie opuszczając wszelako tych podstaw, na których cała wiedza spoczywa a których odrzucenie pozbawiłoby interpretacyę charakteru naukowego.

Ten obcy zgoła wiedzy charakter zaciekawienia publiczności do zjawisk, które niezbyt ściśle obejmują pod nazwą telepatycznych, tłumaczy niechęć mieszania się uczonych do tłumu przyglądającego się wystawionym na widok publiczny przedstawieniom tego typu, gdzie warunki ani nie sprzyjają ścisłemu badaniu zjawisk, ani też nie zaręczają bezinteresownie — przedmiotowego ich odtworzenia. Nie należy jednak wyciągać stąd wniosku (do którego są skłonni niektórzy), jakoby nauka jest bezsilną wobec tego rodzaju faktów; jakoby były one z nią w sprzeczności lub stanowiły dowód jej „bankructwa". Fakta te nie są nowe i nauce są dobrze znane. Nie czas jeszcze może na ich badanie detaliczne, a jeśli to się czyni przez niektórych psychologów, to oczywiście w ciszy laboratoryów, nie na widowiskach publicznych. Najmniej zaś uzasadnionem jest przypuszczenie o „zagadkowości" tego rodzaju zjawisk, o niemożliwości ich wytłumaczenia ze stanowiska podstawowych poglądów dzisiejszej wiedzy. Żaden prawdziwy uczony nie posiada tej prezumpcyi, iżby wiedza mogła *wszystko* wytłumaczyć; zjawiska telepatyczne wszelako należą do tych, które doskonale harmonizują z podstawowymi pewnikami wiedzy i z współczesnym poglądem filozoficznym na świat. Z tej właśnie strony pragniemy je tu oświetlić.

Wyraz *telepatya* znaczy dosłownie „czucie z daleka". Czuć coś z odległości, to znaczy w takich warunkach, gdy nie możemy przy pomocy zmysłów stwierdzić objawów zewnętrznych tego, co stanowi przedmiot naszego ujęcia. Przy pomocy telepatyi zostajemy w jakiś sposób poinformowani (chociaż mniej dokładnie, a nadewszystko *mniej pewnie*) o tem, co zwykle „dowiadujemy się" przez drogi zmysłowe: wzrokiem, słuchem, dotykiem i t. p. Wyrazy „informacya" i „dowiadywanie się" mają tu, jak się niżej pokaże, znaczenie nieco odmienne niż w procesach intelektualnych zwykłych. W taki sposób więc termin telepatyi naturalnie rozszerza się na takie zjawiska jak odgadywanie myśli, przeczucia, sny prorocze, niezależnie od tego, czy następuje to zblizka, czy z daleka. „Halucynacyami telepatycznemi" nazwał psycholog angielski p. Myers także odgadywanie, gdy przybiera ono postać wizyi wzrokowych*). Nie można w żaden sposób odróżnić w chwili jej doznawania halucynacyi telepatycznej (np. ukazania się obrazu przyjaciela w chwili, gdy mu zagraża niebezpieczeństwo lub spotyka nieszczęście) od zwykłej halucynacyi, t. j. takiej samej wizyi, której nic nie odpowiada w rzeczywistości, lub snu proroczego**) od zwykłej mary sennej. Na tem właśnie polega *niepewność* informacyj telepatycznych. Na tysiące wizyj, snów, przeczuć i t. d. zaledwie ułamkowy pro-

*) W dziele tak zatytułowanem, które w polskim przekładzie ukazało się pod nazwą „Dziwy życia".

**) Niektóre wypadki snów proroczych były stwierdzone naukowo. O jednym z nich, bardzo ciekawym, komunikował p. Flournoy na kongresie filozoficznym w Genewie (1904 r.).

cent odpowiada rzeczywistym wypadkom, a odpowiedniość tę stwierdzić może jedynie późniejsze sprawdzenie drogami zwykłego informowania się, t. j. przez zmysły.

Jakkolwiekbądź i chociaż wypadki ściśle udowodnionej zgodności *przeczucia* (wyraz ten najlepiej oddaje treść terminu „telepatya") z rzeczywistością są bardzo nieliczne, wystarczają one, aby stwierdzić, że organizm nasz może być powiadomiony drogą niezależną od zmysłów o rzeczach, mających związek z jego dobrobytem materyalnym lub duchowym.

Takie ujęcie zjawiska telepatycznego zbliża je do całej klasy zjawisk dobrze znanych i często badanych u zwierząt, mniej u człowieka: zjawisk, które ujmujemy pod nazwą *instynktu*.

W. M. Kozłowski.

D. c. n.

Nowe pole pracy dla kobiet.

I.

Zmieniają się czasy, zmieniają potrzeby. Emancypacya utorowała kobiecie drogę do wszelkich uczelni, posad i urzędów. Walka o byt zniewoliła ją do pracy konkurencyjnej z mężczyzną, każda nowa placówka jest oblężona, rąk do pracy zarobkowej przybywa. Z każdym rokiem mnożą się szeregi pracownic, wyczekujących wezwania.

W tej ogólnej pogoni za zdobyciem kawałka chleba, niedoceniano najważniejszej i najodpowiedniejszej dla kobiety pracy—pracy w ognisku domowem.

Lecz, niestety, praca ta u nas niepopularna, pogardzana, lekceważona, ba nawet wyśmiewana, czy zdobędzie sobie prędko prawo obywatelstwa?

A jednak jakże ważną rolę odgrywa w życiu narodów „Kobieta—ognisko!..." Narody zachodu od dawna już zrozumiały znaczenie kobiety jako: światłej gospodyni, dobrej żony i rozumnej matki. Już 40 lat z górą pracują nad jej praktycznem wykształceniem, stawiają je na równi potrzebne z nauką pisania i czytania.

Podziwiamy zawsze dobrobyt zachodu, jego kulturę i urządzenia; czy nie jest w tem głównie zasługa matki wychowawczyni, która swym przykładem i nauką zaprawia dzieci do ładu, pracy, obowiązkowości, punktualności i t. d.

Pierwsze lekcye domowej pracy córka otrzymuje od matki. Idąc do szkoły ma już pewien zasób wiedzy praktycznej i teoretycznej. Na szkole nie ciąży praca od podstaw, szkoła tylko uzupełnia, pogłębia i dalej posuwa robotę przez matkę zaczętą.

Dzieci nie będąc przeciężone odrobieniem zadanych lekcyi mogą w domu brać czynny udział w pracy rodziców, zaprawiając się pod ich okiem do pracy poważnej, obowiązkowej. Dom nie poprzestaje na tem co sam dać może, wie, że wiedza fachowa robi z roku na rok postępy, po ukończonych więc naukach przygotowawczych dzieci wysyłane są do szkół specyalnych. — Odczuwając tę potrzebę państwo przychodzi z pomocą, zakładając lub dopomagając przy zakładaniu, przeróżnego typu szkół gospodarskich i zawodowych. Belgia i Szwajcarya zdają się przodować w pracy praktycznego wykształcenia kobiety. Sama Bruksela ma taką niezliczoną ilość i różnorodność szkół gospodarskich, gospodarsko-zawodowych i zawodowo-gospodarskich, że w podziw wprowadza zwiedzającego. Na wystawie wszechświatowej w Brukseli 1910 roku liczba szkół takich produkujących się na wystawie dochodziła do kilkudziesięciu.

Szkoły gospodarskie otoczone są najtroskliwszą opieką rządu i kościoła. Każda prywatna inicyatywa jest nie tylko szanowana, ale popierana. Wystarczy, by szkoła prywatna przedstawiła program i wykazała frekwencye 12 uczenic, by ją odpowiednie ministeryum subwencyonowało.

Belgia i Szwajcarya tak wielką wagę przywiązują do praktycznego wykształcenia kobiety, że już dla dzieci szkolnych od lat 12 począwszy, urządzają naukę gospodarstwa domowego. Odbywa się to w ten sposób: każda szkoła elementarna żeńska wysyła co 5-ty tydzień dwie ostatnie klasy na $2^1/_2$—3 godzin do szkoły gospodarskiej.

Tutaj dziewczęta pod kierunkiem nauczycielki specyalistki przystępują do pracy. Jedne z nich idą po zakupy, (trwa to 10—15 minut) inne obierają w tym czasie jarzyny, inne sprzątają (choć nawiasem mówiąc czysto jest w każdym kąciku). Zakupy skończone, następuje wykład o przyrządzaniu danych potraw, nieco z chemii kucharskiej i zajęcia praktyczne, a więc rozważanie artykułów spożywczych, poczem każda grupa przystępuje do samodzielnego gotowania. W przeciągu $1^3/_4$ godziny obiad musi być ugotowany; dyżurne nakrywają do stołu i usługują przy stole. Nauczycielka obowiązana jest skosztować dania każdej grupki i wydać swą ocenę. Po spożyciu obiadu zmywanie naczyń, ogólne sprzątania. Robota ukończona, powraca cała grupka do swej klasy, a miejsce jej zajmują uczenice z innej szkoły. Zmieniają się tak 4 partye każdodziennie. Zajęcie w szkole gospodarskiej trwa od 9 rano do $5^1/_2$ po południu. Wziąwszy pod uwagę łatwość przyswajania sobie wiedzy przez dziecko, nietrudno wywnioskować jak dodatnio wpłynie na jego całe życie tak wczesne zapoznanie się z pracą rozumnie, celowo i praktycznie zorganizowaną. W ciągu 2 lat szkolnych ma dziecko przeciętnie 40—44 godzin nauki praktycznej. Nie wszystkie szkoły trzymają się tego podziału pracy, niektóre uwzględniają 5 działów i tak: gotowanie, pranie, prasowanie, reparacya ubrań i sprzątanie pokoi. Bardzo ważnem jest to, że każde dziecko musi prowadzić ścisłe rachunki swej pracy, aby naocznie przekonało się ile zarobiło.

Wiele byłoby do powiedzenia o tem, co zachód uczynił dla praktycznego wykształcenia kobiety, dział to tak obszerny, że wymaga specyalnego opracowania.

T. Leszczyńska.

(D. n.).

M. RULIKOWSKI.

Dawne gmachy i sale teatralne w Warszawie.

(DOKOŃCZENIE).

Budowa Teatru w Pomarańczarni, zarówno jak i budowa Teatru nad wodą, przypadają na ostatnie już lata panowania. Skoro jednak, jak z dziejów sceny warszawskiej wiemy, Król już po roku 1785 posiadał własną trupę baletową, jasnem jest przeto, że musiał wcześniej istnieć i dworski teatr. Tak też było w istocie, a co więcej, zdaje się, że istniały jednocześnie dwa teatry. Wiadomości jednak o nich ograniczają się do tego, co z dwóch współczesnych planów odczytujemy. Mianowicie na planie zamku z r. 1784 znajdziemy na miejscu t. zw. „dawnej kaplicy", t. j. dwupiętrowej sali, położonej za wielką salą jadalną i zamienionej za rządów rosyjskich na cerkiew — teatr, który mógł być tu atoli tylko w granicach lat 1767—1795, niemasz bowiem o nim wzmianki w inwentarzu, spisanym pod pierwszą z wymienionych dat, ani też w inwentarzu z r. 1795, zarówno jak i na innym znowu planie, z r. 1797. Istnienie zaś teatru w dawnej kaplicy godzi się z faktem urządzenia przez Stanisława Augusta nowego przybytku modlitwy na przeciwległym końcu gmachu, w południowo-wschodnim narożniku. Stwierdzenie faktu istnienia — to wszystko, co o teatrze w Zamku za czasów Poniatowskiego możemy powiedzieć.

Nie więcej wiemy o drugim z dawniejszych teatrów królewskich—tyle tylko mianowicie, jak poprzednio było powiedziane, że na planie Łazienek z r. 1787 zaznaczony jest „Dawny Teatr" w tem miejscu, gdzie obecnie stoi odwach. Przypuszczać więc należy, że ten ostatni stanął na miejscu zburzonego teatru, albo też po teatrze w tych samych murach urządzono kordegardę.

Budowa obu istniejących obecnie teatrów w zamiejskiej rezydencyi Króla przypada na ostatnie lata jego panowania. Ale kiedy teatry te zostały ukończone — tego zupełnie nie wiemy. Dotychczas jako datę otwarcia widowisk w Pomarańczarni uważano r. 1786. Tymczasem z listu, pisanego w marcu 1787 r. przez architekta Kamsetzera do Bacciarellego okazuje się, że w tymże samym czasie roboty przy Teatrze trwały w najlepsze; co więcej, ze słów autora (przypuszczalnie budowniczego Teatru) widać, że z robotami zbytnio się nawet nie śpieszono.

O wyglądzie Teatru za czasów Stanisława Augusta jak najszczegółowsze dają pojęcie przedewszystkiem dochowany z tamtej epoki rzut poziomy parteru, następnie zaś dokładny opis w inwentarzu Łazienek z r. 1795. Istnieje również bardziej jeszcze szczegółowy inwentarz z r. 1820. Z porównania tych źródeł ze stanem Teatru obecnym przekonywujemy się, że nie uległ on prawie wcale zmianom. Do większych zaliczyć należy zniesienie ścian, dzielących dwie narożne dolne ubikacye na dwie

części: przedpokój i garderobę dla artystów. Następnie zaznaczyć trzeba, że środkowa loża wprost sceny, królewska, bezpośrednio łączyła się przy pomocy drzwiczek z amfiteatrem, noszącym nazwę „galeryi królewskiej“. Dwa przejścia z tej galeryi na parter, wytworzone przez wysunięcie naprzód środkowej części balustrady, która biegnie przez szerokość sali i oddziela galeryę od parteru — zamykało dwoje drzwiczek. Opisy wejść na salę z głównego przedsionka i z przeciwległego korytarza odpowiadają temu, co dziś widzimy. Już wówczas drzwi środkowe z jednej i drugiej strony dzieliły się na dwie połowy; z tych jedna prowadziła na parter, druga — na amfiteatr czyli galeryę królewską. Inwentarze pouczają nas w dalszym ciągu o przeznaczeniu różnych ubikacyi. Tak więc pokoje boczne przy scenie służyły za garderoby; galerye nad korytarzami pierwszego piętra, dającymi dostęp do lóż, przeznaczone były na mieszkanie tancerzy; sklepiona sala w głównym korpusie, w tej części jego, która łączy się ze skrzydłem, mieszczącem Teatr—nosiła nazwę izby krawieckiej.

Drugi teatr w Łazienkach: Teatr nad wodą, tak samo, jak scena w Pomarańczarni, jeżeli chodzi o określenie ścisłej daty powstania, nastręcza przy dzisiejszym stanie badań trudności i tak samo również posiada szczegółowe opisy w dwóch wspomnianych już inwentarzach. Co do pierwszej kwestyi, to istnieje wskazówka, że teatr służył już może do przedstawień w r. 1788. Mianowicie cztery akwarele Norblina mają jakoby przedstawiać scenę i amfiteatr, wypełniony publicznością, w czasie widowiska w dniu uroczystości odsłonięcia pomnika Sobieskiego, co, jak pamiętamy, miało miejsce właśnie w roku 1788. Czy jednak łączenie tego faktu z przedstawionemi przez artystę scenami opiera się na niewzruszalnej podstawie,— odpowiedzieć w tej chwili nie możemy. Natomiast istnieje w formie listu Króla do Bacciarellego niezbity dowód, że w 1793-im roku jeżeli Teatru nie kończono, to w każdym razie wykończano budowlę dawniej już wzniesioną; pisze bowiem Stanisław August o spodziewanem dopiero ukończeniu przez Righiego figur, przeznaczonych do Amfiteatru.

W opisie Teatru w inwentarzach podkreślić trzeba, że wyliczenie należących do niego dekoracyi, przechowywanych w szopie, mieszczącej łodzie królewskie, nie obejmuje zupełnie kurtyn i kulis właściwych, lecz tylko przystawki, z czego wnosić można, że urządzenie sceny w czasie przedstawień było jak najprostsze, i że w miarę możności wyzyskiwano dekoracyę naturalną: wznoszące się na Teatrze ruiny i rosnące wokoło drzewa. Takie właśnie urządzenie widzimy na akwarelach Norblina, o których już wspominaliśmy.

Wspomnienia o dawnych gmachach i salach teatralnych w Warszawie z końca w. XVIII-go i pierwszych lat XIX-go zakończyć należy wyliczeniem sal w różnych pałacach, w których przez czas krótszy lub dłuższy istniały mniej lub więcej przygodne sceny. Najczęściej rozbijały na nich namioty wędrowne trupy francuskie. Dotyczy to pałaców: mniszchowskiego i prymasowskiego przy ul. Senatorskiej, brühlowskiego i Saskiego, a podobno i pałacu biskupów krakowskich przy ul. Miodowej. W leżącym przy tejże ulicy pałacu Radziwiłłów (następnie własność Paca) w r. 1799 powstał za inicyatywą p. Tyszkiewiczowej francuski „Théâtre de Société“, dający pole do popisu członkom kliki, na której czele stał wówczas przyszły bohater z pod Lipska.

GRUŹLICA A DZIECKO.

Poruszam dziś ważną niesłychanie kwestyę i to zarówno pod względem społecznym jak i hygienicznym. Jest to ważna sprawa nadzwyczajnej śmiertelności u dzieci, kwiatu i przyszłości narodu. Cyfry wykazują niezbicie, że więcej dzieci umiera, aniżeli się rodzi, i że wskutek tego cierpi w wysokim stopniu przyrost ludności, słusznie budzący smutne obawy na przyszłość. Energiczne zwalczanie tej nadzwyczajnej śmiertelności u dzieci, oto pierwszy punkt działalności w naszym programie społecznym.

Złe warunki hygieniczne, w jakich wzrasta i rozwija się młode pokolenie, a zwłaszcza niedostateczne odżywianie, brak dobrego mleka, owego prototypu wszelkich pokarmów i mięsa, nieodzownego do budowy nowych tkanek, wytwarzają niewątpliwie w młodych organizmach skłonność do gruźlicy, wytwarzają grunt przyjazny dla zarażenia się lasecznikiem gruźliczym. Badania ostatnich czasów wykazały niezbicie, że zakażenie zarazkiem gruźliczym następuje w dzieciństwie, że gruźlica jest przeważnie chorobą wieku dziecięcego i że na dzieci w tym specyalnie kierunku baczną uwagę zwrócić należy. Niestety, w obecnych czasach wojennych wiele matek zajętych po za domem, nie może dostatecznie zająć się dzieckiem, nie może poświęcić mu tyle czasu i uwagi, ile rozwijający się ustrój dziecka tego wymaga.

Należy koniecznie dzieci w krótkich odstępach czasu *ważyć*. Dziecko musi przybierać na wzroście i wadze. Niestety u nas matki nie ważą systematycznie dzieci. Jeżeli dziecko nie przybiera na wadze, jeżeli pokaszluje, wieczorami lekko gorączkuje i w nocy poci się, musi powstać w umyśle matki zupełnie usprawiedliwiona obawa rozwijającej się gruźlicy płucnej u dziecka. Nie można pocieszać się w takich razach lekkomyślnie, że to zwykłe przeziębienie, które prędko przejdzie, ale należy nie zwlekając zasięgnąć porady doświadczonego lekarza. Takim nierozwijającym się należycie dzieciom, które wieczorami dostają nienaturalnych „kolorków“, należy koniecznie codziennie mierzyć temperaturę. Przy zasięganiu porady lekarskiej należy przedstawić lekarzowi zapisane wahania się temperatury u dziecka. Będzie to służyć jako podstawa do pewnego stopnia przy stawianiu rozpoznawania. Matki powinny również troskliwie notować przyrost wagi dziecka, aby z tego można było osądzić, czy ono prawidłowo się rozwija. Matki niezamożne, dotknięte troską o zdrowie dziecka, mogą zasięgnąć porady bezpłatnej w tak zwanej „przychodni towarzystwa przeciwgruźliczego“, mieszczącej się w instytucie hygieny dziecięcej Lenwala, ul. Litewska 14. Tam, oprócz wskazówek lekarsko-hygienicznych, otrzymają mleko i kefir. W obecnych czasach, gdy walka z gruźlicą wysuwa się na pierwszy plan, popieranie tak ważnej działalności „towarzystwa przeciwgruźliczego“ należy do ważnych zadań społecznych. Musimy koniecznie więcej, aniżeli dotąd dbać o fizyczny rozwój dziewcząt, o ich racyonalne wychowanie fizyczne, bo przedewszystkiem zdrowych matek nam potrzeba, by mogły rodzić dzieci silne i zdrowe, a następnie karmić je własną piersią. Należy zwracać baczną uwagę na blednicę u dziewcząt, która maskuje często suchoty płucne. Śmiertelność między dziećmi karmionemi piersią matki jest znacznie mniejsza, aniżeli pomiędzy dziećmi karmionemi sztucznie mlekiem krowiem z butelki i dla tego matki polki nie powinny uchylać się od tego najpierwszego obowiązku macierzyństwa, jeżeli rzeczywiście dbają o przyszłość narodu. Serca i mleka matki nic zastąpić nie zdoła. Mleko krowie zawiera często zarazki gruźlicze i dla tego powinniśmy dawać je dzieciom tylko przegotowane, bo gotowanie zabija zarazki gruźlicze. Wiele krów cierpi na tak zwaną „perlicę“, chorobę do suchot ludzkich nadzwyczaj zbliżoną i dla tego obory dostarczające mleka powinny być pod ścisłym dozorem weterynaryjnym i lekarskim, aby ludzie, którzy pracują przy mleku, nie sieli gruźlicy.

W obecnych, nad wyraz ciężkich czasach, gdy troska społeczna wysuwa słusznie na plan pierwszy zdrowie dziecka, musimy odmówić sobie mleka i mięsa i dawać te pokarmy białkowe naszym pociechom, aby rozwijały się prawidłowo i osładzały nam ciężkie życie.

A dalej, ponieważ dziecko jest nadzwyczajnie wrażliwe na zarazek gruźlicy, należy je strzedz troskliwie od wszelkiego zetknięcia się z suchotnikiem, będącym źródłem zarazy. Matka suchotnica nie może karmić dziecka własną piersią i w takich razach powinna je karmić zdrowa mamka. Wychowywać i pielęgnować dzieci powinni tylko ludzie zdrowi. Na zdrowie nianiek i piastunek trzeba zwrócić baczną uwagę, czy nie kaszlą i nie plują i czy plwocina ich nie zawiera laseczników gruźliczych, bo w takich razach dziecko bardzo łatwo zarazić się może. Jeżeli ojciec albo matka cierpią na suchoty płucne, dziecko powinno być bezwzględnie z domu usunięte i umieszczone u ludzi zdrowych i to najlepiej na wsi, gdzie dziecko wzmocni się i rozwinie prawidłowo. Dzieci pochodzące z rodziców

suchotników najlepiej jest wychowywać na wsi i nie spieszyć się z oddawaniem ich do szkoły, hamującej prawidłowy rozwój fizyczny. Wiedzieć nadto należy, że dzieci, pochodzące z rodziców suchotników, same są obarczone w wysokim stopniu skłonnością do suchot i na takie dzieci baczną uwagę zwrócić wypada. Dłuższy pobyt w górach, lub jeszcze lepiej nad morzem, często cudów dokazuje. Trzeba teżuwagę zwracać na dzieci skrofuliczne, bo skrofuły są często zapowiedzią gruźlicy. O ile tylko środki na to pozwalają, wynajmować należy słoneczne, czyste i suche mieszkania. Gry na świeżem powietrzu, wędrówki piesze, pływanie, w zimie ślizgawka, rozwijają i krzepią ustrój dziecięcy, zapobiegając rozwojowi gruźlicy. Nie trzeba dzieci zbytnio przeciążać nauką, pracą domową, ale raczej baczyć na to, by przynajmniej dwie godziny dziennie spędzały na świeżem powietrzu. Racyonalna gimnastyka płuc, głębokie oddychanie, rozszerzające wierzchołki płucne, skutecznie również zapobiegają rozwojowi gruźlicy.

Ażeby dzieci umiały i mogły znosić różne zmiany temperatury i stanu powietrza, należy je rozumnie i stopniowo hartować drogą umiejętnie stosowanej wody zimnej. Należy wdrażać dzieci nasze od małego do zachowywania skrupulatnej czystości; która broni od wielu chorób.

Suchotnicy nie powinni zawierać związków małżeńskich ze względu na potomstwo.

Dr. Władysław Chodecki.

PROFILE LITERACKIE.

(ODCZYT).

I.

Wszystkim talentom, zmarnowanym bądź życiem, bądź śmiercią, służyć może za pocieszenie retoryczne pytanie Lessinga: „Czyż gdyby Rafael był się urodził bez rąk nie byłby niemniej największym geniuszem malarstwa?".

Istnym geniuszem poezyi, sztuki słowa rzeźbionego na usługach myśli spiżowej i wulkanicznego uczucia była Halina Zielińska. Nie było jej danym stwierdzić swej potęgi i subtelności twórczej dziełem proporcyonalnym w swym całokształcie do skali jej możności wrodzonych. Urodzona 10 października 1890 r., zmarła 3 października 1915 r., przeżywszy lat 25, z których 8 przypada na pracę literacką. I życie i śmierć sprzysięgły się tym razem przeciwko rozwojowi tej niezwykle bogatej i silnej natury. Z życiem borykała się i walczyła zwycięsko; wychowana bardzo starannie pod względem duchowym, dostatnio pod względem materyalnym, przystąpiła mężnie młoda poetka do pracy zarobkowej, gdy ze śmiercią ojca ś. p. Augusta Zielińskiego, we wrześniu 1908 r. uznała tę konieczność. Objęła posadę w Banku Zachodnim w Warszawie, gdzie szybko zdobyła uznanie i głęboką sympatyę szefów, kolegów i koleżanek, a oprócz tego prowadziła sama kasę sklepu materyałów piśmiennych, który na własne ryzyko otworzyła. Do biurka zasiadała najwcześniej o godzinie 10-ej wiecz. Charakter pracy całodziennej oczywiście nie sprzyjał nastrojom poetyckim, ani monotonia dni i lat—natchnieniu.

Niemniej po pierwszych młodocianych utworach drukowanych jeszcze w r. 1907 w „Tygodniku Ilustrowanym" następują w r. 1909 kolejno dwa tomiki poezyi, obydwa wydane nakładem autorki. Tomiki te wzbudziły zachwyt prawdziwy w Tetmajerze, który niejednokrotnie okazywał ś. p. Zielińskiej, jak wysoko cenił jej talent. Również Ignacy Grabowski zwrócił w tym czasie na nią bardzo życzliwą uwagę. Z inicyatywy Tetmajera „Świat" począł drukować jej wiersze ulotne. A wierszy tych gromadziło się w tece poetki bardzo dużo: warunki materyalne utrudniały jej coraz bardziej drukowanie prac swych w formie książkowej, a kłaniać się księgarzom, sprzedawać na ogólnym rynku swoje umiłowane klejnociki liryczne nie byłaby potrafiła — była naturą nawskroś arystokratyczną. Wybuch wojny usposobił zmarłą autorkę szczególniej twórczo. Z początku wzniecił w niej olbrzymią nadzieję patryotyczną z alternatywami oburzenia i bólu. Pod wpływem tych zmiennych wrażeń, odczuwanych przez nią z namiętnością wielkiej patryotki i otchłannie głębokiego człowieka pisała bezustannie, we wszystkich wolnych chwilach. Stworzyła kącik liryczny w „Musze", gdzie drukowała co tydzień prześliczne drobiazgi. Znaczna część jej wierszy dotychczas pozostała niewydaną z istotną stratą dla poezyi naszej. W czasie wojny powstał również dramat 3-aktowy, który teatr Rozmaitości otrzymał pod pseudonimem J. Lassota. Ze względów cenzuralno-politycznych sztuka ta, osnuta na tle stosunków Księstwa nie mogła i nie może być wystawiona, teatr więcej niż w uprzejmym liście prosił autora o dalsze współpracownictwo, ze względu na talent niepowszedni, objawiony w tym utworze. Do dalszej twórczości jednak nie doszło wogóle: w kilka tygodni po otrzymaniu wzmiankowanego listu od Zarządu Teatru poetka padła ofiarą epidemii tyfusu. Spuścizna jej literacka obejmuje dwa tomiki poezyi, zbiorek drukowanych w różnych pismach i różnym czasie poezyi ulotnych, kilka artykułów treści socyalno-politycznej, drukowanych w „Kuryerze Warszawskim" w r. 1915, dramat p. t.: „Bohaterowie jutra", wreszcie powieść historyczną dla młodzieży p. t.: „Orlątko", wiążącą się ze schyłkiem ukochanej prze nią legendy Napoleońskiej.

Talent Haliny Zielińskiej cechuje przedewszystkiem rozległość skali. Pióro jej władało biegle każdym rodzajem literackim, forma zarówno wiersza jak prozy była dla niej fraszką, tym bardziej pogłębiała treść, im swobodniej ją kształtowała. Twórczość jej choć tak krótkotrwała zaznacza wyraźnie dwa okresy: pierwszy był fazą subjektywizmu, na poły refleksyjnego, na poły uczuciowego, dominującą nutą jest tu pesymizm, tłomaczący się u niej *nietylko* aspiracyami młodzieńczemi i przesyceniem duszy milionem żądz namiętnych a sprzecznych, lecz i rozdźwiękiem warunków bytu z melodyą jej tak uprawnionych marzeń i dążności. Drugi okres — to faza patryotyczno-altruistyczna, faza wczuwania się możliwie objektywnego we wszelkie nastroje i dążenia. Obu tym okresom zawdzięczamy perły najczystszej liryki. Zielińską cechuje *siła*. Przebija ona we wszystkim, w ekspresyi zewnętrznej, dramatycznej nierzadko, w rodzaju koncepcyi i w skończonym opanowaniu formy, będącym potęgą artyzmu na tym stopniu prostoty i doskonałości. Zielińskiej należała się ta długa, jak na ramy dzisiejszego odczytu, wzmianka: dotychczas jest mało znana, choć bardzo zasłużona, bo nienawidziła reklamy, bez której trudno o rozgłos. W historyi literatury zajmie miejsce zbyt szczupłe, bo tam z natury rzeczy nie sama jakość rostrzyga. Dlatego dzisiaj należało jej się miejsce odpowiednie choć w części do wielkości jej duszy i jej talentu, a nie zastosowane do czasu, jaki tu wśród nas przeżyła.

II.

Pani Nałkowska znana jest naszemu ogółowi więcej, jako powieściopisarka, niż jako poetka. Poezye jej były drukowane w czasopismach i nie wyszły dotychczas w zbiorku oddzielnym. Przy badaniu genezy psychologicznej tej bocznej linii jej twórczości nasuwa się wątpliwość, czy wiersze te powstały z impulsu uczuciowego, z osobistej konieczności psychicznej. Takie jest zwykle źródło tworzenia poezyi ulotnych u artystów prozy, uważających powieść, dramat i t. p. za najwłaściwszy sposób, praktycznie rzecz biorąc, wypowiadania się pośrednio, realizowania swej treści intelektualnej raczej, poezyę zaś uważają za *swój* kącik, za *swoją* ucieczkę i wyraz sentymentu. Tego wrażenia nie wywołuje twórczość pani Nałkowskiej. Przyciwnie zdawałoby się, czytając te wiersze, że autorka zapragnęła przy wrodzonej łatwości stylu zwalczyć względną trudność, opanować najzawilsze formy uzewnętrznienia i z tej pobudki pisała swe ciekawe, oryginalne nawskroś poematy. Potrzeba psychiczna, podstawa wszelkiej twórczości była tu, tak sądzićby można, natury raczej intelektualnej i wrażeniowo nerwowej, aniżeli uczuciowej. Jej rezultaty artystyczne mają charakter bądź dysertacyjny, bądź malowniczy.

Jeden z estetów francuskich twierdzi, że mowa wiązana jest dla artysty świadectwem większej pierwotności raczej i *jej* bezpośrednim wyrazem, gdyż melodya rytmów i rymów, jako coś do pewnego stopnia fizycznego, zmysłowego odpowiada *naturze* bardziej, niż kulturze człowiek. Twierdzenie to zawiera prawdę genetyczną, ale do dzisiejszego człowieka, u którego kultura jest czynnikiem równorzędnym do natury, a czasem, czasem nawet miejsce jej zajmuje—twierdzenie to zastosować absolutnie się nie daje. Najmniej zaś można mówić o tej pierwotności przy poezyach p. Nałkowskiej, owocach przesubtelnionej kultury artystycznej. Jest to wirtuozowstwo nawskroś indywidualne, żonglujące z całą swobodą myślami, obrazami i słowem, operujące często umyślną arytmią, czyniące z mowy t. zw. wiązanej czasami mowę szarpaną, nierównie wyrazistszą — przy skończonej świadomości swych czynów twórczych i ich techniki. Jedną zaś z najbardziej zasadniczych cech techniki p. Nałkowskiej jest kontrast formy z obraną treścią: im abstrakcyjniejszą myśl porusza, tym plastyczniej symbolizuje, personifikuje najczęściej np. w „Zrzeczeniu", utworze bardzo silnym. Jak tutaj, tak przeważnie, im mocniejszy w kolorycie, (w czem celuje) maluje p. Nałkowska obraz, tym głębszy sens z niego wysnuwa, często nagle i niespodziewanie. Przeważającą również cechą tych poezyi jest, że plastyka w nich nie jest obrazem spoczynku, ale raczej plastyką ruchu.

Pani Nałkowska — poetka jest przedewszystkim intelektualistką oraz kolorystką.

III.

Intelektualistką, podobnie jak p. Nałkowską, można nazwać i Savitri. Ale już nie kolorystką. U niej nie barwa, ale ton, nie zmysł wzroku, lecz słuchu pierwszorzędną odgrywają rolę. W jej wszystkich poezyach przedewszystkim uderza i przykuwa ucho muzyczność wiersza. Ze śpiewu duszy zdają się być poczęte strofy Savitri, śpiewu, pod który podkłada wyrazy, nie mogąc się wypowiedzieć pieśnią bezsłów.

Poetka sama ujęła swoją twórczość, zawartą w jednym tomiku (mowa tu oczywiście tylko o poezyi, nie licząc powieści i cennych artykułów i szkiców krytycznych) w kilka cykli, ułatwiających rozpatrzenie jej pracy w tym zakresie i znamion jej odrębności. Najdłuższy i najjednolitszy z tych cykli, to „Rzeźby z lawy"; są one jednym wielkim wybuchem namiętności, której wszystko, co się daje podciągnąć pod miano życia i miłości, jest objektem. Wogóle Savitri jest we wszystkim, co pisze, żywiołowa, gorąca, to unosi się ogniem pragnienia, miłości, oburzenia i zapału, to znów opada—w rozczarowaniu goryczy lub poprostu w bezsilności, następującej po szczytnym natężeniu mocy.

Tak więc poezye te są odzwierciadleniem skrajnych dwu faz kolejnych psychiki ich autora, są obrazem ciągłej akcyi i reakcyi, którą nazwać by można uczuciowo-mózgową. Z podobnymi wybuchami, choć nie tak ekskluzywnie, spotykamy się w cyklach p. t. „Nietoperzowe loty", „Im" i „Bryzgi". Jest tu wszędzie dużo siły, jest talent kształtowania swego czucia, jest odwaga, bezwzględność wyznania. „Chwile" są cyklem nastrojowym, w którym może najlepiej uwydatnia się przeważająca rola melodyi w uczuciowości i wrażeniowości poetki. Przy „Dniach pogody" nasuwa się pytanie, z jakiej racyi tak zostały nazwane te pieśni tęsknoty, niezaspokojonego marzenia, a czasem zaledwie znużonego odpoczywania. Ten cykl wraz z „Lotami nietoperzowemi" zawiera najwięcej utworów refleksyjnych, nawet wręcz filozoficznych. Same tytuły nas objaśniają: „Na żer abstrakcyi", „Fantazya panteistyczna", „Nadczłowiek", „Z dyalogów o przyszłości" i t. d. Charakter tych ostatnich utworów przypomina podobne z natury zagadnień poruszanych filozoficzne wiersze Sully Prudhomme'a. Lira Savitri swojską nie jest, gwałtowność wybuchów, napięcie namiętności, nadaje jej cechę południową raczej, a sposób rozumowań i ich subtelny wyraz w formie wiersza poważnego, a nie nazbyt ciężkiego, upodobniają ten rodzaj do mistrza francuskiego właśnie.

W poezyi polskiej, aż po obecną dobę, rozróżnić się dają dwa szlaki: jeden— modernistyczny, o tendencyi humanitarnofilozoficznej i zabarwieniu subjektywnym, egotycznym, o ekspresyi najkunsztowniejszej, świadomie oryginalnej—prąd ten pochodzi z Zachodu,— oraz drugi,— będący ciągiem dalszym tradycyi romantycznej— nawskroś polski zarówno w nucie wyrazu zewnętrznego, jak w treści i odczuciu, trzymający się pewnych prawideł, choć niemniej samorodny częstokroć w pomyśle. Przedstawicielkami tamtego prądu są pp. Nałkowska i Savitri, przedstawicielką, jedną z ostatnich może, tego starszego kierunku była Halina Zielińska. Ten sięga głębiej do istoty duszy naszej narodowej, tamten zatacza szersze widnokręgi, ten obejmuje najdroższą przeszłość naszą, tamten wyciąga zdobywcze ramię po obietnicę przyszłości.

Marya Rafałowiczówna.

Z teki pośmiertnej HALINY ZIELIŃSKIEJ.

WAWEL.

Mgła już pada, na jej szarem tle
Smukłe zamku snują się kolumny,
Bladych latarń szereg światło śle
Kędy wody wir przepływa szumny.

— — — — — — — — — — —

Mgła już pada, ponad wieży szczyt
Fioletowy odbrzask noc już zsyła,
Czasem rudla słychać cichy zgrzyt
Z łodzi, którą szarość mgły okryła.

— — — — — — — — — — —

Na zamkowy smutny patrzę cień
Jak osnuwa go wieczna tęsknota...
Coraz ciemniej mgła się nad nim mota.

— — — — — — — — — — —

Z nieuchwytnych wodnej fali drżeń
Dziwna skarga biegnie w gród żałoby,
W ciszę nocy, w starych królów groby.

NA WAWELSKIE ŚCIANY...

Na Wawelskie ściany pada cień,
Na Wawelskie cień opada ściany,
Coraz niżej skrzydła skłania dzień,
Zwolna zbiera odblask słońc różany.

Pośród mroku i światłości drżeń
Wbiega jeszcze promień rozigrany.
Na Wawelskie ściany pada cień
Na Wawelskie cień opada ściany.

Na Wawelskiej wyży stąpa głaz
Na Wawelskich głazów stąpa wyże
Człowiek—chcący czoło wznieść choć raz
Tam, gdzie gwiazda w gwiazd się sznury niże.

Lecz nie wbiegną w szczytnych wieków czas,
Skrzydła w nizkim, ziemskim locie chyże—
Na Wawelski człowiek stąpa głaz
Lecz—nie wzleci na Wawelskie wyże!

HEJNAŁ II.

Co noc kiedy północ już wydzwoni
Na zegarze szemrzące pacierze,
Z chrzęstem skrzydeł, z dźwiękiem złotej broni
Orli syn wieżycy starej strzeże —
I na sercu naszem serca biciem
Gra... i budzi duchy innem życiem.

Ach! Kto pieśni takiej raz posłucha
Temu myśli w orle lecą ślady,
Temu każdy przedświt wspomni blady,
Że przeczyste są gdzieś światy ducha,
Że nie darmo hejnały nam grają,
Kiedy orły z mogił swoich wstają!

I noc będzie, kiedy złoto—zbrojne
Hufce zbiegną na baszty umarłe
I obudzą szczątki dusz zamarłe
I na świętą poprowadzą wojnę,
Gdzie myśl będzie strzał złocistych grotem,
Gdzie zwyciężać będziem skrzydeł lotem.

PRZEZNACZENIE!

Dziś przeznaczenia mego krwawa ręka
Na chacie mojej położyła znamię!
Umyłem ściany i sam sobie kłamię,
Że mnie przestrachu wnętrzny głos nie nęka.

I próżno idę w pole skibę czarną
Obracać płužnem ostrzem, próżno w świcie
Pracuję rankiem, rozrzucając ziarno—
Wiem, że już moje nie wystarczy życie

Aby się złotym plonem cieszyć!... Ślady
Ręki zatarte—sieję jak co roku,
Tylko mi w piersi wstaje gdzieś strach blady
I wołom moim bicz przyspiesza kroku,
Bo do zorania wielkie pozostały łany
A oracz pracy odejść musi—odwołany.

SIERP.

Trzeba mi dzisiaj żąć! Zboże dojrzało
Trzeba mi żąć,
Ale się ostrze sierpa złamało
Skąd drugie wziąć?

Zboże się sypie w ziemię bezkreśnie
Srebrzystą grą,
Po polach moich chodzę jak we śnie
Z rozpaczy łzą.

Kiedy mi zboże wreszcie dojrzało
I trzeba żąć,
To mi się ostrze sierpa złamało,
Skąd drugie wziąć?

NIGDY WIĘCEJ.

Nigdy więcej nie ujrzę brzegów twych, o morze!...
Coś się zapadło w głąb
Aby nie powstać już.
Skalisty brzegów zrąb
Pali się barwą zórz—
Czemu mnie z moich stron los goni na bezdroże?

Na rozkaz idę w dal od jasnych moich brzegów—
Rozkazu hejnał gra
I w wielką płynie dal
Hejnału nuta drga
U zrębu każdej fal
I każe duszy iść do bratnich dusz szeregów.

Nigdy więcej nie ujrzę brzegów twych, o morze,
Coś ginie w wieczny czas
Jakby kwiat w pąku rwał.
Ostatni żegnam raz
Smutnych twych zrębów wał—
Na rozkaz idę w dal, na walki, na bezdroże!

Z. MORAWSKA.

A drzewa szumiały...

Obrazek z r. 1863.

(CIĄG DALSZY).

Goście spojrzeli na siebie, a we wzroku ich znać było zaniepokojenie.

Szepnęli coś do siebie, a jeden z nich rzekł:

— Sądzę, iż nie pozostaje nam nic więcej, jak najśpieszniej wasz dom opuścić.

— I ja tak myślę, — dla waszego bezpieczeństwa, — odrzekł gospodarz, biorąc za czapkę.

— Oddział trzeba również jaknajprędzej wyprawić, — dodał.

Wkrótce bryczka parokonna szerokim gościńcem, wiodącym ku Warszawie, uwoziła gości p. Nikodema.

Obaj mieli czapki z gwiazdką urzędników rosyjskich.

Po chwili opustoszał nietylko dwór, ale i podwórzec.

Donat i Bruzda z ks. Madurą wyprowadzili powierzony im oddziałek.

VIII.

Bruzda i Donat szczęśliwie doprowadzili swój oddziałek do wsi Gapa, gdzie znaleźli eskortowane przez siebie czas jakiś wozy i cały oddział Borsuka, rozłożony możliwie wygodnie w szałasach i chatach kurpiowskich.

Oddział ten wzrósł niepomiernie przez przybyłych na ten punkt zborny z rozmaitych stron kraju.

Wyglądał też wcale pokaźnie.

Wszyscy byli odziani w krótkie myśliwskie kurtki, skórzane spodnie i wysokie buty, na głowach mieli czapki z uszami lub konfederatki.

Każdy też miał broń i to nie byle jaką. Broń błyszczącą w tej chwili więcej, niż kiedy, pogoda bowiem dopisywała, a południowe słońce kładło złote promienie na błyszczącej stali.

Bruzda i Donat nie zwrócili jednak tyle uwagi na cały oddział, ile na dwóch młodziutkich chłopców w mundurkach szkolnych, stojących z butną miną przed Borsukiem.

— Panie naczelniku, ja mam lat 14, jestem silny, umiem obchodzić się z bronią, zabiłem nawet raz wilka... — przechwalał się jeden.

Borsuk na tę przechwałkę nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Doprawdy, panie jenerale, — przyświadczył drugi, — widziałem tego wilka... Ja, chociaż nie zabiłem wilka, umiem się również doskonale obchodzić z bronią, jestem silny.

I wyprostował się, podając naprzód pierś rzeczywiście doskonale rozwiniętą.

— Wierzę, wierzę i w zabitego wilka i w to, że jesteście silni, że moglibyście doskonale znosić niewygody powstańcze. Teraz jednak przyjąć was nie mogę—mówił łagodnie Borsuk, wpatrując się z ojcowską pobłażliwością i jakiemś rozrze-

wnieniem w stojących przed nim młodzieniaszków.

— Ależ... — wyrzucili obaj razem ze ściśniętego gardła.

— Tak,—dziś nie mogę was przyjąć,— mówił dalej Borsuk, — siły wasze przydadzą się później. Tymczasem nabywajcie sił umysłowych,—temi jeszcze więcej będziecie mogli przynieść usługi ojczyźnie, gdy tych nie stanie, co dziś umysłem swym służą krajowi.

— Będę zmuszony nawet pod strażą odesłać was do rodziców, — nie miejcie żalu do mnie, ale tak mi nakazuje obowiązek... — dodał.

Chłopcy zarumienili się po uszy, oczy im błyszczały i nie można przysiądz, czy łez w nich nie było.

Wtem zrobił się rumor,— straż stojąca na warcie dała znak jakiś.

— Do obozu, na tyły! — zawołał Borsuk.

I pochwyciwszy oszołomionych chłopców, własnoręcznie prowadził ich w zarośla.

Warta zdawała sprawę:

— Ujęliśmy dwóch panów, jadących parokonną bryczką, nie wiedzieli hasła, — chcą do naczelnika.

— Przyprowadzić ich tutaj! — rozkazał Borsuk.

Wkrótce dwaj średnich lat mężczyźni dostatnio ubrani stanęli przed nim.

Idąc, rozglądali się pilnie po rozłożonym obozie. Oglądali się, jakby go chcieli przejrzeć do głębi.

— Franciszek Niemira!

— Wiktor Wawrzyński! — wymienili swoje nazwiska, oglądając się na wszystkie strony.

Borsuk obrzucił ich wzrokiem badawczym, przyłożył dwa palce do czoła obyczajem wojskowym i zapytał:

— Co panów do nas sprowadza?

— Syn mój i syn mego sąsiada, — począł Niemira, — zniknęli przedwczoraj z domu,—mamy pewne poszlaki, że ukryli się w obozie...

— *Nie ukryli się*, — odrzekł Borsuk z uśmiechem, kładąc nacisk na każdy wyraz, — ja ich ukryłem, gdy mi doniesiono, że ktoś obcy się zbliża.

Przybyli spojrzeli na mówiącego ze zmarszczonem obliczem.

Ten, nie zwracając na to uwagi, wstał i odszedł do kryjówki młodzieniaszków.

Upłynęła długa chwila, nim powrócił w towarzystwie znanych nam już młodzieniaszków.

Przypadli do ojców.

— Antek! — zawołał Wawrzyński, obejmując głowę syna.

— Kubo! — wykrztusił Niemira, patrząc na swego.

A chociaż nasrożył brwi i usiłował nadać groźny wyraz twarzy, w głosie jego drgało rozrzewnienie.

— Wybacz, panie dowódco, my ich dać nie możemy,—za młodzi ..—wykrztusił Wawrzyński.

— Ja ich też nie myślę przyjmować. Miałem ich kazać odprowadzić pod strażą, — oszczędziliście mi panowie kłopotu swoim przyjazdem, — rzekł, uśmiechając się, Borsuk. — Zabierajcie synów coprędzej,—odjeżdżajcie. Niech nie przerywają nauki, — siły ich zdadzą się ojczyźnie na innem polu, — dodał.

(D. n.).

IZA BRONIKOWSKA.

Sâdhâna

(Urzeczywistnienie życia).

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

— Słuchaj, na seryo nie mogłem. Goście mi się zwalili przed godziną; wiesz, jak zwykle szanowna rodzinka przyjeżdża oglądać regaty i zawracać człowiekowi głowę. Dwie przedpotopowe, nudne ciotki. Bierzcie mój punt i czekajcie przy brzegu—może mi się uda zdążyć jeszcze. Ciotunię wyprawię za chwilę do znajomych, na barge'ę. Nie proszę cię nawet do środka, bo... drzemie trochę po podróży. Zresztą stare panny, to marna atrakcya. Ha! ha!

Kolega, znajomy Ani, chudy, kościsty, z podłużną, końską twarzą, Arnold Hurst, przygotowujący się na misyonarza na wydziale teologicznym, opowiada coś z przejęciem, urywanym przez śmiech głosem.

— Nie może być! Na seryo to Briggs jechał w łodzi z panną? Słuchaj, a może to ta jego siostra? Ma podobno uroczą, młodziutką siostrzyczkę. Stary szczęściarz!

— Pa, bracie! Za pięć minut przylecę!

Podbiegła do okna i przez szparę w rolecie patrzyła, jak wyszli obaj na próg. Hurst opowiada coś jeszcze z zapałem; gołe, śpiczaste kolana trzęsą mu się i podrygują ze śmiechu. Z trykotu wioślarskiego w różowe i czarne paski wygląda u góry chudy, kańczaty brzeg obojczyka. Dick śmieje się — słucha; mruży oczy od słońca.

Ania z torebki wydobywa małe, ręczne lusterko; poprawia lekko przekrzywiony kapelusz i rozfryzowane trochę, misterne, jasne pierścionki grzywki. Zauważyła, że jest bardzo blada, że ma prawie zielonkawe cienie koło ust i uśmiechnęła się do siebie porozumiewawczo i smutno.

Zastanowiła się.

— Dwadzieścia jeden lat — i nigdy nie całowane usta — jakie to śmieszne. A teraz...

Chwilowe wzruszenie opadło—jak purpurowy balonik, przekłuty szpilką.

To, co się stało, wydało jej się nagle dziwnie marne, niesmaczne, brzydkie. Nie mogła odnaleźć w sobie ani jednego echa, wstrząśnienia, nic—biała—smutna cisza.

Więc—to tak?

Poprawiła koronkowy kołnierz „medicis", rozprostowała zmięty pęk róż przy szarfie (różowe, zawsze lekko przywiędłe Lyon d'Or — o cieniach brunatnych i złotych, karnacyą płatków przypominające powieki złotowłosych, zapłakanych królewien).

Dick stanął za nią.

W niespokojnych, chmurnych oczach tłumi ze wszystkich sił mętne wahanie i strach, a nie może się oprzeć, by prawnym ruchem właściciela nie ująć ją za ramiona i nie rzucić paru odpowiednio czułych słów.

— Dziewczyneczko moja — słodka Anny — — — raz jeszcze — — chcesz?

Słowa uderzyły ją, jak cięcie szpicruty. Poczuła ból prawie fizyczny — rumieńca.

Nie mówić, za wszelką cenę milczeć o tem.

Odsuwa go lekko.

— Proszę, odszukaj mi woalkę, musiała się zsunąć między poduszki.

Ma w chłodnem, bezbarwnem brzmieniu głosu, w każdej poprawnej fałdce sukni, rezerwę i pewność siebie osoby doskonale ułożonej i światowej.

Zakrzątnął się prędko—rad bardzo, choć trochę zdziwiony z takiego obrotu sprawy. Zaczęli oboje podtrzymywać sztywny, przyjacielski nastrój.

— Idziesz już, Anny?

— Idę.

Stanąwszy we drzwiach, w powodzi słonecznego światła, Dick rozgląda się ostrożnie.

— Czego się obawiasz?...

Żachnął się.

— Ale, cóż znowu!

Otworzyła malutką, śpiczastą kopułkę białej parasolki. W milczeniu prawie, zażenowani okropnie, weszli w szeroką, prostą aleję, wiodącą od Christ Church College ku Rzece. Była przerwa między wyścigami.

Gołogłowi, wyletnieni studenci prowadzili po alei gromadki krewnych i znajomych, przybyłych ze wszystkich stron Anglii. Poważni ojcowie, nierzadko w klerykalnych kapeluszach i kołnierzykach, siwe uśmiechnięte, lub wymalowane i odmłodzone matki, ładne, krzykliwe trochę, wystrojone „girls", często (pod nieprawdopodobnym kapeluszem) z twarzą, jaką by sobie wymarzył Gainsborough, Leley, lub William Morris — witają kolegów najukochańszego Dicka, Jack'a i Fred'a radosnymi okrzykami „Hallo" i wybuchami śmiechu.

Co chwila, spacerujący przystają, łączą się w ożywione gromadki, rozbijają na mocno sobą zajęte pary.

Na uboczu, wolno i samotnie włóczą się odosobnione, pogardliwie smutne grupki Indusów, Egipcyan, Murzynów.

Na Błoniach Christ-Church, które aleja przecina, rozłożyły się co krok barwne pic-nic'kujące towarzystwa.

Spacerowa Rzeka Cherwell, przy końcu alei wpadająca do wyścigowej Isis, jest dosłownie zapchana puntami. W dali z szeregu nadbrzeżnych barge'y powiewają różnokolorowe flagi, gra orkiestra. Dick niewiedząc już co z sobą począć, wyciąga z niecierpliwością zegarek.

— Anny, chodź trochę prędzej, umówiłem się z Hurstèm, a i ciebie zdaje się czekają! — Co?

Milczała, myślał już, że nie dosłyszała pytania.

— Pobiegnij sam, Dick, ja nie mam się do czego tak spieszyć.

Zdziwił się.

— Ale przecież umówiłaś się? Czekają?

— Czekali i przedtem.

— A nie obrazisz się, że cię nie odprowadzam?

— Nie.

— Dowidzenia, malutka!

Pobiegł pędem, spuściwszy głowę, wyrzucając nogami, jak młody rozdokazywany źrebak.

Dochodziła do pierwszej barge'y gdy Ken Lane powitał ją długim „Hallo“.

Niezwykle ładny, wysoki, o rozkosznie domytym i „wywietrzonym“ wyglądzie Anglików z dobrych rodzin, trząsł ją z całej siły za rękę.

— Za pięć minut—ostatni bieg. Spieszmy się. Spóźniłaś się okropnie. — Tamci już piją podwieczorek, a ja wyszedłem odnaleźć tę nieznośną Anny: no chodź! Minęli prędko cały szereg gwarnych, jak ule, udekorowanych kwiatami i chorągwiami barge'y. Na dole, jakby w wielkich kajutach okrętowych — wypoczywali na leżakach pookrywani młodzi wioślarze. Do każdej barge'y przytwierdzona była para wązkich, długich wytwornych łodzi — ósemek. Na dachach barge'y, okolonych baryerką, studenci przy stoliczkach z podwieczorkiem przyjmowali gości.

D. c. n.

LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

VI.

Śliczne było jezioro w Błotnikach. Szafirowa jego toń mieniła się srebrnemi łuskami i złoto-amarantowymi blaskami w słońcu. Gęste i wysokie trzciny okalały brzegi, z jednej strony otaczał jezioro górzysty, świerkowy las, z drugiej—pas łąk. Wśród drzew widać było biały dworek z obszerną werandą, oplecioną powojem. Przed dworkiem kwitły różne gatunki róż, tworząc barwną plamę na ciemnem tle lasku. Był to ogród pana Tulewicza. Kochał las i róże, to też jedno i drugie miał zawsze przed oczami.

Na werandzie, w dużym trzcinowym krześle siedzi gospodarz — blady, z zapadniętemi oczami, wychudzony i przedwcześnie zgrzybiały. Z rąk Niny bierze szklankę i marudzi, że kefir niedobry i że ma dosyć babskich leków.

— Ależ, wujaszku, proszę to wypić koniecznie—prosiła Nina łagodnie, pieszczotliwym ruchem ręki podtrzymując ramię chorego, z delikatnością siostry miłosierdzia.

— A co tam słychać, byłaś w polu? Ludzie pewno nic nie robią, włódarze do niczego.

— Ależ nie, wszystko w najlepszym porządku, tylko proszę się nie irytować, bo to wujowi szkodzi.

— Te te te, posadzili w fotelu i każą o niczem nie myśleć, a tu wszystko idzie na opak,—marudził rozdrażniony przymusową bezczynnością.

W kilka chwil później podczas, gdy chory drzemał, wpół leżąc w fotelu, młoda dziewczyna usiadła na kamiennych schodach werandy i tęsknem spojrzeniem wpatrywała się w ciemną ścianę lasu i lśniącą u swych stóp szybę jeziora. Ciepłe sierpniowe słońce padało na złotą jej głowę, ocienioną wielkim kapeluszem i igrało z puklami włosów, spadającymi na białą szyję. Minął miesiąc jak Nina opuściła Potok, a w tem nowem miejscu twarzyczka jej jakoś straciła różowość brzoskwini, oczy podkrążyły liliowe obwódki, a wysoka jej dobrze rozwinięta kibić stała się bardziej wysmukła. Nina sama nawet nie wiedziała, jak zaczęła poddawać się tęsknocie. Wszak tyle tu miała obowiązków, tyle spraw, które pochłaniały jej wszystkie chwile. A przytem na każdym kroku tyle wspomnień. Dawniej czuła tu się taka szczęśliwa, a teraz patrzy na tych wszystkich swoich starych znajomych z dziecinnych lat, i dziwi się, że nie znajduje już dawnych uniesień. Ten stary, kochany ogród, te wielkie, do ziemi opuszczające gałęzie jesiony, ile razy siedziała w ich cieniu z książką w ręku! Ona dawniej, razem z wujem hodowała te najpyszniejsze gatunki róż,—świerki poważne, jak podrosły w ostatnim czasie, a tutaj — temi wąziuchnemi ścieżkami lubiła przechadzać się z nim kiedyś, gdy wierzyła jeszcze w szczęście i prawdziwe uczucie.

Ciche westchnienie podniosło pierś młodej dziewczyny, a oczy przysłoniła mgła smutku.

Wszystko tu teraz inne, ludzie nowi, dom tylko został taki sam mały i nieznaczny, i wody jeziora zawsze spokojne i tajemnicze.

Coś ciągnęło Ninę do małej łódki, uczepionej do pnia starej wierzby, nęciła ją samotna przejażdżka i myśl, że na chwilę oderwie się od codziennych spraw.

Nagle drzwi cicho otworzyły się i za plecami dziewczęcia rozległ się trochę chrypliwy szept.

— Toć już śpi, niechże panieneczka złota pobiega sobie; od tego młodość, a nie po to, żeby starych doglądać. A ja tu sobie posiedzę tymczasem, różaniec zmówię, jeszcze z dobra godzina minie nim dziewki do południowego udoju zwołam.

— Dobra Maryanna, zawsze czynna, i pamiętna o mnie, jedyne żywe wspomnienie mych dziecinnych lat. A pamięta Maryanna nasze wycieczki na grzyby, i splatanie wieńcy na Bożą Mękę?

Stara kobieta usiadła wygodnie na szerokich stopniach, ręce założyła na wielkim modrym fartuchu, a uśmiech zadowolenia rozjaśnił jej pergaminową, pomarszczoną twarz i małe, przygasłe oczy.

Była ona typem prawdziwym wiejskiej gosposi i wiernej, oddanej sługi.

Nina, siadając do małej łódki, widziała jeszcze w dali śnieżny czepek na głowie Maryanny, krwawe korale i wiewające długie wstęgi.

Za chwilę już tylko zdaleka rysowało się na fali czółenko, parte silnemi rękoma Niny.

Teraz położyła wiosła, i tak bezczynnie siedząc, pozwoliła nieść się prądom fali.

Było jej tu tak dobrze, jak przed chwilą na kamiennych stopniach werandy, gdy wspominała czasy dzieciństwa. To była przeszłość, a teraz cisną jej się do głowy nowe myśli, nowe marzenia, chociaż Nina nie była nigdy ani romantyczną, ani egzaltowaną panną. Teraz oto wspomnienia jej biegły do tych, których zostawiła w Potoku, a którzy tyle serca jej okazali. Dawno już nie miała żadnej wiadomości od przyjaciółki, ani odpowiedzi na swój ostatni, długi list, w którym donosiła jej, że pewnie jeszcze długo nie będzie mogła opuścić wuja i o przyjeździe na jesień do Olszanowa ani myśleć nie może. Czyżby się pogniewała?—myślała Nina zaniepokojona.

Jak żywe stanęły jej w oczach wszystkie chwile, jakie przeżyła od przyjazdu do Błotnik.

Więc najprzód wyjazd rankiem, żal Izy, zdumienie Jerzego, i ciepłe, serdeczne słowa pożegnania, rzucone jej przez młodego artystę. Jeden tylko pan Olszanowski nie miał dla niej ani jednego dobrego spojrzenia, ani nawet tego zwykłego uśmiechu przyjacielskiego, który zdobił jego poważną twarz, gdy z Niną rozmawiał. Czy miał dnia tego jakie zmartwienie, lub czy był to tylko tak częsty u niego szczególniej w ostatnich czasach brak humoru? Zabawna rzecz, taka drobnostka, a zabolała ją. I, doprawdy, przekonała się, że mężczyźni też czasem bywają niekonsekwentni. Bo przecież w ostatnim liście przyjaciółki jest dopisek jego ręką, gdzie w kilku ciepłych słowach prosi, by jaknajprędzej wróciła do Potoku, gdzie wszyscy oczekują jej z upragnieniem.

Więc tamto mogło być tylko niezadowoleniem z nagłego wyjazdu lub żalem, że Iza zostanie pozbawioną jej towarzystwa.

Dziwne, że ona, Nina, nie miała wtedy żadnych określonych uczuć żalu lub tęsknoty.

Poprostu ogłuszona była wyjazdem i tylko jakby przygnębiona. Teraz dopiero przez mrok, jaki padł na jej jasne

dni spędzone w Potoku, przebijają się pierwsze jasne promienie wspomnień.

Wszystko teraz widzi w różowych kolorach; uroczy zameczek, opleciony różami, las stary, rzeczkę, pełną nenufarów, które tak lubi pani Iza. Jakiż dziwny był wtedy pan Olszanowski, gdy zrywali je razem dla jego żony. Twierdził, że nie rozumie, jak można lubić kwiaty pozbawione woni, porównując je z kobietami bez serca, które nie chcą, czy nie umieją kochać. Pamięta, że zarumieniła się wtedy po uszy, choć dawno już wyszła z narowów podlotka. Ale on tak na nią patrzył, że miała uczucie, jakby o niej właśnie myślał, i ją o brak serca posądzał,— a wszystko to przez myśl o Zagórskim.

Albo znów kiedyś, na dwa dni przed wyjazdem rwała pierwsze pęki róż, których całe klomby kwitły przed domem. Ranna rosa perliła się na delikatnych płatkach i chłodziła jej ręce.

Spieszyła się, aby przed śniadaniem ubrać żardiniery i wazony i już miała wracać, gdy niespodzianie zjawili się gospodarz domu i młody Zagórski. W pierwszej chwili Nina zawstydziła się swego rannego stroju, który odsłaniał szyję i ramiona, oraz włosów luźno splecionych i puszczonych wolno na plecy. Szybko ujęła pęk zerwanych róż, chcąc ukryć pomieszanie, lecz w tej chwili poczuła dotkliwy ból, a na pokłutych palcach ukazały się krople krwi. Pan Jerzy pobiegł szybko po wodę do obmycia ranki, a pan Zygmunt chwycił nieszczęsne róże i zanim się spostrzegła, rzucił daleko na rzeczkę. Wydało jej się to śmieszne, a gdy robiła mu wymówki, że niszcząc te śliczne kwiaty, naraża ją na nowe ukłucie, stał trochę zakłopotany, w końcu odrzekł, odbierając z jej rąk skrwawioną chusteczkę: „Nie mogłem powstrzymać gniewu widząc skaleczone te delikatne paluszki, Izie zabraniam nawet zrywać róże; to takie zdradzieckie kwiaty, jak zwykle wszystko, co piękne".

Do tego czasu nie mogła zrozumieć, jak można było unieść się tak z powodu drobnostki.

(D. c. n.).

Kronika działalności kobiecej.

O prawa wyborcze kobiet. W komisyi ustawodawczej sejmu pruskiego *przedstawiciel polaków* poparł wniosek socyal-demokratów w sprawie przyznania kobietom praw wyborczych. Natomiast przeciw temu wnioskowi wystąpili konserwatyści, przedstawiciele partyi ludowej (Volkspartei) i postępowcy. Wniosek socyalistów widoków powodzenia niema.

U pracownic igły. Odbyło się 15 z. m. nadzwyczajne zebranie ogólne Zw. zaw. pracownic igły.

Licznie zebrani uczestnicy zebrania na przewodniczącą powołali p. F. Konopaską, na sekretarza p. Araszkiewicza, poczem potoczyła się dyskusya nad warunkami pracy i płacy.

Jednogłośnie uchwalono:
1) 8-godzinny dzień pracy;
2) podwyższenie zarobków o 100 proc.;
3) zniesienie pracy akordowej;
4) urlopy płatne miesięczne (po roku pracy) i półmiesięczne (przy mniej niż rok pracy);
5) pofajerantowa płaca o 100 proc. więcej;
6) 2 godziny przerwy obiadowej;
7) dni odpoczynkowe płatne.

Sprawę urządzeń hygienicznych w pracowniach oraz odpowiednie traktowanie pracownic powierzono do opracowania zarządowi związku i zwołania następnie zebrania walnego.

„Nagroda im. Elizy Orzeszkowej". W dniu 15 z. m. w lokalu Kasy Literackiej odbyło się wspólne posiedzenie komitetu Kasy i Zarządu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy polskich, celem narady nad powołaniem komisyi kwalifikacyjnej, która zgodnie z regulaminem „funduszu im. Elizy Orzeszkowej", przedstawi kandydatów do przypadającej w roku bieżącym nagrody z tego funduszu.

Jak wiadomo, pierwsza nagroda z tego funduszu przyznana została przed dwoma laty Wacławowi Sieroszewskiemu „za całą jego działalność literacką".

Protest kobiet polskich z powodu oderwania Chełmszczyzny. Wszystkie polskie stowarzyszenia i związki kobiece ogłosiły—jak czytamy w *Czasie*— protest przeciwko oderwaniu Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego.

Staraniem także tych związków i stowarzyszeń odbyło się w poniedziałek, d. 18 z. m., o godz. 10 zrana, w kościele oo. dominikanów nabożeństwo błagalne o wolność dla ojczyzny.

Związek równouprawnienia kobiet polskich wydał dwie agitacyjne odezwy i pocztówkę z kobietą, zrywającą więzy i wzrokiem wlepionym w napis: „głosowanie powszechne jest dopiero wówczas, gdy i kobiety głosują"!

Venizelos zamyka kobiety w klasztorze. Havas donosi z Aten: Rada ministrów postanowiła zamknąć w klasztorze pewną liczbę kobiet, pochodzących ze sfer burżuazyjnych, za prowadzenie stałej propagandy antymilitarnej.

Do prenumeratorów „Bluszczu".

Aby uniknąć zwłoki w otrzymywaniu numerów prosimy o szybkie nadsyłanie prenumeraty na II kwartał.

Wszyscy prenumeratorzy „Nowej Reformy" i „Il. Kuryera Codziennego" zechcą w ciągu marca nadesłać prenumeratę do „Zastępstwa Bluszczu, Kraków, Retoryka 1".

We wszystkich sprawach, odnoszących się do nabywania książek, form, wzorów etc. Prenumeratorzy przez „Kuryer Codzienny" zechcą się zwracać wprost do Redakcyi „Bluszczu", Warszawa, N.-Świat 41.

TREŚĆ NUMERU:

OGŁOSZENIA.

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.** Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.